



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WIEJSKI KOWAL

Longfellowa.

Pod rozłożystym stoi kasztanem
Kuźnia wśród wiejskiej ustroni;
Silny barczysty kowal w niej panem,
O grubej żylastej dłoni—
A jego ramion mięśnie stalowe
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,
Twarz jego jak dębu kora;
Po czole potu spływają strugi
Od rana aż do wieczora —
Lecz patrzy dumnie z swojego domu,
Bo nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień zpod jego strzechy
Słychać gwar dziennej roboty,
Słychać sapiące powietrzem miechy
I spadające w takt młoty,
Które tak dzwiczą czysto i śmieie,
Jak dzwony w blizkim kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły
Przez drzwi zagląda z rozkoszą;
Bawi ją widok ognia wesoly
I miechów, co się podnoszą,
I przyskajacych na wszystkie strony
Iskier ze sztaby czerwonej.

W niedzielę za to w skupienia ducha
Czeladce on towarzyszy,
Świątecznych modłów i kazań słuca,
A kiedy spiewy posłyszysz,
Głos córki w świętem poznając pieniu,
W głębokiem duma wzruszeniu.

Tensam, co matka, głos ma dziewczyna,
A matka w aniołów gronie...
Więc z rozrzwiniem o tej wspomina,
Co w grobu spoczywa łonie,
I szorstką dłonią ociera oczy,
Zkąd łza po twarzy się toczy.

Tak w trudzie, smutku, w cichem weselu,
Przez życie idzie swym torem;
Rano zadanie świeże na celu,
Koniec roboty wieczorem;
A każdodziennie zebrane żniwo
Daje noc marzeń szczęśliwą.

O, przyjacielu! Przyjmij dziękczynienia
Za tę naukę nam daną:
Tak w kuźni życia, pośród płomienia
Trza losów wykuwać wiano
I każdy zamiar, każdy czyn potem
Pod twardym kształtować młotem.

El-y.

Książki dla młodzieży i dzieci.

(Dokończenie).

Szczęśliwie doczekała się ponownej edycji bar-
dzo dobra książka, wyszła przed laty kilku pod
tytułem *Stawa*. Tytuł najzupełniej usprawie-
dliwiony, bo są to: „Opowiadania historyczne
z dziejów starożytnych dla młodocianego wieku“
spisane przez Floryana Czepelińskiego a zawie-
rające czterdzięci zyciorysów sławnych mężów
greckich, podanych w porządku chronologicznym.
Są to już bohaterowie rzeczywiści: wielcy wojow-
nicy, rządcy narodów, mędrzy, poeci—ludzie cnót
i czynów wzniosłych, wolno też książce, które
dzieje ich zawiera, tak wspaniale się zapowiadać.
Obowiązek—to niewątpliwie rzecz najpierwsza do
przedstawienia młodości, która się do uczciwego
życia wyrabia; obowiązek pojęty w znaczeniu
swem najwyższem, dokonany bohatersko, z poświę-
ceniem dla dobra ogółu, dla idei wysokiej, przyno-
si ludziom sławę; piękna to jest aureola nad czo-
łem człowieka, więc wychowawca nie błądzi, gdy
blask ten, jasniejący promiennie, młodemu czytel-
nikowi ukazuje.

Nie jest to bynajmniej zadaniem wychowania,
aby jedynie życie mierne i pospolicie płaskie na
celu miało: kształcić trzeba przede wszystkim
i nadewszystko do uczciwości, do tak użytecznego
w społeczeństwie istnienia, aby pasożytnem nie
było, bo do tego każda osobistość ludzka, wyższa
czy niższa, jest związana przez prawa moralne,
światem rządzące. Ale należy obok tego serca i u-
mysły podnosić i natchnień szczytnych dziecku nie
skąpić, jeżeli nie chcemy krzywdzić go ogranicze-

niem do poziomu. Podzielam najzupełniej do kodexu edukacyjnego stosuję to zdanie Cherbuliez'a, że-gdy wielkie ideały zprzed ducha nam znikają, zaczynamy kochać rzeczy małe, zaczynamy kochać szczególnie siebie. Co ludzkości, krajowi, rzeczy publicznej odjętem zostanie z miłości i zajęć naszych, co z tego zostanie odjętem wyższemu życia celowi, to dostaje się interesom jego maluczkim i egoizmowi naszemu: więc też książki, które dostarczają młodzieży wzorów wyższej cnoty obywatelskiej, stawiają jej przed oczy czyny z wielkimi sprawami ludzkości związane, uważam za wielce w wychowaniu potrzebne—potrzebniejsze, niżeli inne. Przykłady cnot pomniejszych, zwyczajniejszych, dziecko najpierw a potem wiek młodociany może w życiu, które go otacza, spotykać i przy dobrym wychowania kierunku, przy rozumnej wychowawców uwadze, mogą mu one przedstawionemi tak zostać, aby istota młoda ukochała je i szacunek dla nich powzięła. Ale cnoty wielkie, ducha porywy wspaniałe: wielkoduszność, poświęcenie dla idei, dla miłości spraw wyższego porządku, nie bywają w warunkach życia zwyczajnych spotykane: i dlatego wiek młody musi je w książce znajdować, aby obrazy ich wykrzesywały mu z serca te iskry zapału, które pierś szlachetna posiadać powinna.

Niema to przecież znaczyć, aby książki z życia powszedniego nie miały racji bytu w czytaniu dla młodzieży, aby były niepotrzebne. Przeciwnie, mają i one swój, i znaczny, wpływ edukacyjny, ale obok nich mieścić się powinna — kładę nacisk na ten wyraz — *powinna* być do rąk młodzieży podawana książka, której zadaniem jest wyższe podniesienie myśli, wyższe uczucie wzruszenie.

Książka, która mi dała powód do tych uwag, została skreślona przez autora na zasadzie tego, co Libelt, pisząc o reformie szkół poznańskich, o nauczaniu historii, podał. Według jego programu pierwszym nauczaniem, a raczej wstępem do nauczania przygotowaniem, powiany być wiadomości o znakomitych osobistościach: chronologicznie, choć bez ciągu wypadków podawane, przyczem występowałyby obrazy pewnych wielkich faktów dziejowych. Takie przygotowawcze zaznajamianie dziecka z dziejami świata, takie pierwsze pozyskiwanie umysłu dla przyszłych studyów historycznych, autor oddaje nauczycielstwu matki i książkę swoją przeznacza dla czytelników od lat dziesięciu do trzynastu. Radzi obok książki rozłożenie przed oczyma czytającego mapy, bo wtedy fakta, przyczępione do miejscowości lepiej w pamięć się wdrażają, gdy naodwrot znajomość historii kraju, naukę jego geografii ułatwia, ożywiając ją dla umysłu przez wspomnienie wypadków dziejowych, które się tu spełniły.

Autor zaczyna od mitycznych Grecy bohaterów: od Herkulesa i Tezeusza, a kończy na ostatnim mężu, który wobec hellenickiej ojczyzny wielkim się okazał; na Filopomenie ze smutnym przydomkiem: *Ostatniego Greka!* Jest to całokształt dziejów Grecy w mężach jej wybitnych: u początku silacze, dusiciele potworów, istoty malujące się na tle społeczeństwa swego w zarysach wielkości, bóstwa bliższej — pół bogi; na końcu słabość, chwiejność, upadek charakterów, nawet u najwyższych ważenie się między górnosciami a poniżeniem. Tam do syna Alkmeny poeta mógł zawołać, niby Jowiszowym głosem: — „Nie wypieś boskości ze świętych moich zdroj, lecz boskość sobie wzięła dzielna moc siły twojej!” — tu nawet *Ostatni Grek* ma chwile zaćmienia i upadku ducha, ma na sumieniu swoim zesłabnięcie, które go plami. Ale umiera jak wielki mąż i obywatel; starzec już przez podłych nieprzyjaciół wśród walki z wrogiem, której nie chcieli, pojmany, gdy mu do ciemnicy więziennej czarę z trucizną przynoszą, on pierwej pyta: — A co się stało z wojskiem?... a gdy odpowiedź pomyślną dostaje, woła: — Dziękuję Bogu!... i z tym wykrzykiem do ust zabójczy puhar podnosi. Szlachetna i umacniająca idea historyczna daje się z ciągu tych życiorysów wyprowadzić — upadek z poniżenia charakterów wynika, podniesienie za ich podniosłością iść musi.

Dobra ta książka jest wydania Maurycego Orlebranda, Zawiera 29 wizerunków w drzeworycie.

Trzy powieści p. Zuzanny Zajaczkowskiej: *Wytrwałość i praca, Halina Zagórska, Ułomni*, także w wydaniu ponownem, stanowią jedną książkę, w której starsze już dziewczynki pożyteczną naukę i zajmujące czytanie znajdują. Są to wszystko dzieje sieroty, sierociej doli troski i niebezpieczeństwa, szczęśliwie przełamane przez wytrwałość i pracę, i tytuł pierwszej powieści jest rzeczywiście tytułem książki całej; szczególnież ostatnia powieść, historia losów biednej garbatej dziewczynki, bardzo zajmująca. Jest tu przecież w pierwszej zaraz powieści jeden ważny błąd pedagogiczny: sen wyroczny, w którym duch niezyczącej matki daje starszej córce jakoby przepowiednię o śmierci młodszej. Effektywne to ma być, zwłaszcza, że scena cudownego zjawiska ma dodaną sobie ilustrację, ale efekt zjawiska, bo idzie za nim wiara w sny, niedojrzałej młodości udzielana. Sierota, matki i jej dojrzałej rady pozbawiona, sierota właśnie powinna najmniej takiej smutnej słabości ulegać, bo, w chwilach zwłaszcza cięższych, może się ona bardzo przykro zaznaczyć niespokojnością, która energii pozabawia i czasem nawet złą radę podsuwa. Wiara w Boga — to dość na ukrzepienie i pomoc wśród trosk życia — tak dość, że cokolwiek nadto już jest i grzechem i szkodą.

Do bardzo dobrego czytania dla młodzieży należą: *Rozrywki dla młodocianego wieku*, dzieło zbiorowe, ułożone przez Sewerynę Duchiąską (Pruszkową), których tom IV, i w seryi tej ostatni wyszedł właśnie. Czytelnicy naszego pisma wiedzą już o wartości i treści tego wydawnictwa, które w zasłudze literackiej działalności Duchiąskiej niemałe zajmuje miejsce. Młody czytelnik spotyka się tam tak z tem, co go przyjemnie zajmie, jak z tem, co go dobrych rzeczy nauczy. Sam dobór znajdujących się tam poezyi czyni *Rozrywki* cennym dla rodzin nabytkiem. Niech tylko kilkaset dziewczynek z należytem przejęciem odczyta i dobrze zrozumie — niech się na pamięć nauczy tej poezyi, pięknej między najpiękniejszymi tworam literatury naszej, a już *Rozrywki* przyniosą społeczeństwu korzyść wielką. *A Do zimy*, poezya Deotymy, a *Król Robert Bruce*, poemacik Duchiąskiej! Wiersz ostatni może zająć szczególnież chłopców i najlepsze edukacyjne wpływy zalecają ten wiersz na deklamacyą w kole rodzinnem. Piękny obrazek m luje mi wyobraźnia, przedstawiając szlachetnie, za wyższym życia ideałem gonionego młodzieńca, deklamującego w kole rodzinnem ten wiersz, dźwięcznym, wzruszonym głosem. Dobra zabawa, dobre zajęcie wśród feryi świątecznych.

Mała dziatwa dostała w tym roku dwie ładne, zeszytowego formatu książki obrazkowe, którem towarzyszą, objaśniające je, udatne, dobrą polszczyzną napisane wierszyki. „Przygody dziatwy w domu i w szkole, przez Maryą Ciskowską; obrazki Eugeniusza Klimszy“. „Świat dziecięcy, wierszyki i obrazki M. Zielińskiej“. Wydanie bardzo staranne Gebethnera i Wolffa; całość miło w oko wpada.

„Teatryk obrazkowy“, to zabawka bardzo też ładna, z kilku powiasteczkami, którym to tylko w wyobraźni naszej szkodzi, że nie nasze. Szkoda wielką, że ten ładny teatryk nie ilustruje bajek, opowiadanych u nas przez nianki; że, na przykład, *Czerwona czapeczka* to nie sierota, przez złą macochę w las wypędzona — ta Marysia, która do nieznanego a cudownego staruszki na służbę idzie, i w dębnie mieszkając, kotki i pieski jej karmi.

Marya Ilnicka.

GŁUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg).

Ta niezwykła słodycz dla siostry miała w tem źródło, że Aniela zaczęła podejrzewać p. Kajeta-

tana: chciała więc skonfrontować obie strony. Starsza panna Bolewska ta przedstawiała sobie zawsze daną sytuacyą jasno i zimno.

I przekonała się, ku sromocie pana Kajetana, o tem, czego nie pomyślała. Pan Kajetan bowiem, choć się miał za wielkiego dyplomata, nie mogąc utaić swej radości, nie spuszczał z oka Antosi, odkrywając coraz-to nowe wdzięki, to w jej oczach, to w jej uśmiechu, to w jej równiutkich i bielutkich ząbkach, a przytem, czy co opowiadał, czy o co zapytywał, zwracał się zawsze do Antosi, mieszając całkowicie porządek hierarchiczny. Antosia zaś, choć odpowiadała półsłówkami, ale tak rozsądnie, a czasem i trafnie, że matka, zdziwiona, patrzyła na nią tak, jak gdyby ją widziała po raz pierwszy. Zręczniejszym okazał się p. Kajetan w tem, że, chcąc sobie zapewnić obecność jej na przyszły raz, obiecał jej przynieść całkowite wydanie Słowackiego i Krasińskiego, bo dowiedział się z rozmowy, że zna dotychczas Mickiewicza tylko.

Po jego odejściu odbyła się następna scenka familijna.

Aniela słodko-kwaśnym tonem zapytała Antosię obcesowo:

— Poszłabyś za pana Kajetana?

— Ja? — odparła osłupiała dziewczyna — z kądemże ja?

— Nie rób tak niewinnej minki, bo wiesz dobrze dlaczego się o to pytam.

— Ależ, Anielciu! — zawołała matka — jej się o tem ani śni.

— Ale jemu śni się z pewnością!

— Jaby nigdy na to nie pozwoliła! — oburzyła się matka — młodszą brać przed starszą: któż to widział!

— Wiem ja dobrze, co mówię. Cóż w tem dziwnego, że ona ma większe szczęście ode mnie?

— Anielciu, Anielciu! Nie dokucaj mi!

I ocierając łzy, wybiegła czemprędzej z pokoju.

VII.

Pan Kajetan przyniósł obiecanych poetów, tylko że nie mógł ich doręczyć Antosi, gdyż zamiast sióstr przyjął go matka. Twarz jej, zwykle dobrotliwa, silła się teraz na wyraz powagi i surowości, a oczy jej, przenikając nawskoś posmutniałego p. Kajetana zdawały się mówić: wypowiedz raz nareszcie jasno swe zamiary. Lecz on nie badał bynajmniej fizioznomii szanownej matrony, bolejąc w duszy nad niespodziewanym zawodem.

— Cóż jest pannie Anieli? — pytał się, myśląc o Antosi.

— Anielcia już od niejakiemu czasu mocno mnie niepokoi. Za wysła się, posępnieje nagle i bez przyczyny, a gdy pragnę dowiedzieć się co jej dolega, wdycha tylko, lecz milczy. Co to być może, jak się panu zdaje?

— Chwilowa niedyspozycya... — odpowiedział, myśląc o czem innym.

— O nie! ja znam moją Anielcię. Pan nie ma pojęcia, jak ona głęboko odczuwa każde wrażenie, a przytem nie zwierzy się z niczem, choćby cierpiała najstraszliwiej.

— A panna Anto...

— Dusza jej czysta, jak kryształ, i szlachetna.. wyższa umysłem, gdyż jest bardzo ukształconą. Jeżeli pan uważał, umie się jednak zastosować do każdej okoliczności, do każdej sytuacji.. Mogąc iść za mąż już kilkakrotnie, wołała się poświęcić dla mnie i zostać...

Pan Kajetan przypomniał sobie nagle dzienniczek, rzekł więc nieostrożnie:

— Przecież wiecznie zostać nie może w domu!

— Naturalnie, ja też jej poświęceń przyjąć nie chciałam, a teraz gdy przyjdzie do tego... nie pozwolę za nic w świecie... Szczęśliwy będzie ten, kto jej charakter zrozumie i oceni, jak na to zasługuje.

— A panna Anto...

— Nie należy ona do tego rodzaju panien, które lubią błyszczeć pozorami i myślą jedynie o wydaniu się za mąż; cicha, trochę melancholijna, całe swe szczęście widzi w domowym ognisku; lecz dzi-

siaj, pan wie zapewne równie dobrze jak ja, o człowieka wypróbowanego charakteru bardzo trudno, prawie niepodobna...

— Dlaczegożby nie, proszę pani? Nie trzeba tylko zbyt wiele wymagać od nas biednych i zawsze spotwarzanych mężczyzn! A cóż jest pannie Antoninie?

Pani Bolewska spojrziała się na niego srogo i odrzekła powoli, cedząc słowa:

— Antosia trochę się zaziębiła.

— I leży chora?

— Nie, ale nie wychodzi z pokoju. To znowu dziecko całkiem innej natury: dzieciak prawdziwy, bo o półtrzecia roku młodsza jest od Anielci, pozostanie też dzieckiem długo jeszcze. Naturalnie po kilku latach zrozumie, że życie nie jest zabawką i żartem...

— Ale przepraszam panią, panna Antonina wcale nie ma dziecięcych na świat poglądów: owszem, zdrowy rozsądek, trafność spostrzeżeń nad wiek zastanawiały mnie nieraz i powiem, że zachwycaly.

— To pan bardzo łaskaw na tego smarkacza. Nie przeczę, że dobre z niej i łagodne stworzenie, ale dużo jeszcze wody upłynie, zanim zrozumie prawdziwe powołanie kobiety.

Trudno było jaśniej dać do zrozumienia, że Antosi teraz nie wyda za męża. Przez „powołanie“ zrozumiała przeczona matka „wyjście za męża“. Miała jednak do czynienia z upartym człowiekiem, p. Kajetan bowiem nietylko nie ustąpił, ale, zrywając z wszelką dyplomacją rzekł śmiało głosem, w którym dźwięczała mężka energia i widoczne wzruszenie:

— Pani Dobrodziejka zmusza mnie do szczerości, może przedwczesnej. Wchodząc w dom państwa pod pierwszym lepszym pozorem, przybyłem już z zamiarem starania się o rękę córki.

— Anielci?—przerwała, jakby namawiając, pani Bolewska.

— Nie, panny Antoniny. Nie potrzebuję zwręcać, że tylko prawdziwa skłonność kierowała moimi krokami. Zdawało mi się wtedy, że pokocham pannę Antoninę, a dziś jestem tego pewny.

— Alboż pan ją przedtem znałeś?

— Przypadek pozwolił mi poznać nieosobiście wprawdzie pannę Antoninę i ocenić od razu jej szlachetny charakter. Bliższe, choć tak krótkie, poznanie utwierdziło mnie w mniemaniu, że tylko z nią mogę być szczęśliwym.

Pani Bolewska milczała zamysłona; p. Kajetan mówił dalej:

— Naturalnie, że jestem zuchwałym, gdyż nie mam najmniejszej pewności, czy p. Antonina odpowie mi wzajemnym uczuciem.

Tyle tylko trzeba było przeczona matce.

— Lękam się, że pan zgadłes tym razem. Antosia, jak mówiłam, zanadto jeszcze jest dzieckiem, ażeby podobne uczucie, jak miłość, w sercu jej odezwać się mogło.

— Pozwól mi więc pani mieć nadzieję i bywać dalej w swym domu w tych zamiarach.

— Przyznam się panu—odrzekła po chwili, że nie spodziewałam się bynajmniej *takiego*—dodała z naciskiem—oświadczenia ze strony pańskiej, tembardziej, że nie chciałam żadną miarą wydać młodszej córki przed starszą... a gdybym nawet zgodzić się na to mogła, gdyby i Antosia, posłuszna mej woli, chętnie się zgodziła, jęszczebym lękała się o waszą przyszłość. Z Anielcią co innego: rozum jej, takt wielki i tysiączne przymioty, których, niestety, brak Antosi. dają nieomylną pewność każdemu, kto ją wybierze.

Pan Kajetan nie wiedział, czy się śmiać czy gniewa; wolał udać że nie rozumie, mówiąc:

— Tak dobra matka, jak pani dobrodziejka, nie może zagrażać przyszłości własnej córce: dlatego nie wątpię, że mi wolno będzie bywać w charakterze, który miałem zaszczyt określić bliżej.

— Jednak proszę nie liczyć bynajmniej na moją pomoc!—zawołała podrażniona.

— Proszę tylko o neutralność.

— Co więcej, uprzedzam pana, że ani słowa nie wspomnę Antosi o naszej rozmowie.

— Zgadza się i na to, łaskawa pani.

I ucałował rękę, podaną sobie, sztywnie i bez zapalu.

Szczególne wyrodziło się ztąd położenie. Anielca, oczywiście, zawiadomiona o rozmowie, nie usunęła się bynajmniej z areny, lecz przeciwnie, wystąpiła do walki... ze swą siostrą, z całym arsenalem doświadczenia, przebiegłości wrodzonej i układności przybranej. Dotychczas nie miała rywalki, nie potrzebowała się więc pilnować, teraz nadzieja zwalczania kielkującej miłości w p. Kajetanie dodała jej bodźca. Porzuciła minę melancholijną, westchnienia i zadumy, ilekroć p. Kajetan przyszedł w odwiedzin. Próbowwała nawet naśladować niewinność i szczerość obcesową Antosi.

Pan Kajetan jednak okazał się pospolitym umysłem, bo nietylko nie zadziwił się tak raptowną zmianą, ale przyjął ją jako rzecz naturalną, w niczem a niczem nie tracąc swego wbornego humoru, ożywionej swady i jowialnej dobrodusności. Zauważył tylko po jakimś czasie, że Antosia unika go z pewnym strachem, a gdy do niego przemówić musi, czyni to, patrząc w inną stronę i z taką obojętnością, jakgdyby przemawiała do ściany. To go cokolwiek dotknęło, tembardziej, że dopatrywał w tem podszeptu matki, czyli złamania obowiązku neutralności.

A zkadże mógł wiedzieć o owej scenie familijnej, w której Anielca tak ironicznie wyrzucała jej większe szczęście?

Od owej chwili Antosia istotnie zaczęła się sobą brzydzić.

Jakto?—ona, na którą dotąd nikt nigdy nie zważał, ma teraz stać się przeszkodą ukochanej swej Anielci w wyjściu za męża? Czyżby to był fatalizm, boć przecie ani wdziękami swemi, ani rozmową nie potrafiłaby nikogo zająć. Nikogo? Zkadżeby ten p. Kajetan, który tak dziwacznie wszedł do ich domu?... Teraz przypomniła sobie, że raz szedł w ślad za nią na ulicy i że z nią rozmawiał częściej niż z innemi. Lecz to nic, to tylko grzeczność. Będzie teraz uważała na niego i zaczęła uważać i dostrzegała, że oczy p. Kajetana nie schodzą z niej, nawet wtedy, gdy sam z Anielą rozmawia. Przeleżała się nie na żarty tego człowieka, przez którego mogła stracić zaufanie i przywiązanie siostry, i odtąd nie spojrziała na niego, a gdyby wypadało, nie pokazałaby się nigdy w pokoju, ilekroć on przychodzi z wizytą. Ona, która dotąd nie miała niechęci do nikogo, zaczyna go nienawidzić prawie, nienawidzić tem więcej, że, czy chce czy nie chce, myśli o nim ciągle jako o strasznym jakimś wrogu, a w nocy widzi go we snach zawsze. Pobladała z niepokoju i nieraz płacząc gorzko na swą dolę, chciałyby uciec daleko i na tak długo, dopóki p. Kajetan nie został mężem Anielci.

Lecz cóż? uciec—nie ucieknie i jeszcze słuchać musi jego głosu, który ją drażni, i odpowiadać na jego słowa, zwracane do niej bardzo często, jakby na złość. Odpowiada mu też tak niedorzecznie, że Anielca w głos śmiechem wybucha. Kto inny rzekłby się niewdzięcznego trudu, tymczasem on nie zraża się tem bynajmniej. Owszem, kiedyś, na przykład, gdy Anielca na chwilę wyszła z pokoju, zapytał się nagle, patrząc jej zuchwale w oczy:

— Dlaczego mnie pani tak nienawidzi?

„Zrozumiał więc, rzecz szczególna—pomyślała—że go nienawidzę“,—a gdy mu odpowiedziała najobojętniej, że nie rozumie dlaczego czyni takie zapytanie, on odrzekł głosem drżącym:

— Czuję to.

— Bardzo z tego szczęśliwa.

W kilka dni potem, gdy siedziała w swoim pokoiku zajęta robotką, a Anielca z matką wyszły na miasto za sprawunkami,—otwierają się raptownie drzwi i staje przed nią.. pan Kajetan.

Głośno krzyknęła.

— Przebacz pani moją śmiałość, ale tak dłużej pozostać nie może.

— Jestem samą—zawołała Antosia, zasłaniając się jakby do obrony rękami; mama z siostrą wyszły.

— Wiedziałem o tem i dlatego przyszedłem umyślnie.

Panna Antonino, musisz się dowiedzieć prawdy. Przed kilku jeszcze tygodniami oświad-

czyłem się o rękę pani... Nic ci o tem nie powiedziano, albo powiedziano inaczej, i dlatego unikasz mnie pani, patrzysz na mnie ze wstrętem i obawą. Droga panno Antonino, znam cię dawniej niż myślisz, a pokochałem wprzódy, zanim przemówiłem słowo do ciebie. Prosty ze mnie człowiek, ale uwierz mi, że cię kocham pierwszą w mojem życiu, że cię kocham, jak nie kochałem dotąd nikogo!

Ujął jej rękę i przycisnął do ust. Antosia wyrwała mu się gwałtownie i napół z gniewem, na pół z płaczem—zawołała:

— Wyjdź pan, zaklinam pana, na Boga!

Wyszedł oszołomiony, zawstydzony, jakby popełnił czyn sromotny i zgnębiony, jakgdyby na wieki już opuściła go wszelka nadzieja.

Przez dwa tygodnie nie śmiał się pokazać w domku wdowy. On, tak dotychczas z humorem biorący życie, nietracący beczynnym jedno go dnia, cały ten czas przebył w swoim pokoju w rozpacznej nieporadności i na obmysłaniu tysiącznych planów dalszego życia. Nareszcie ostatecznie postanowił sprzedać młyn, spieniężyć wszystko, co ma, i przenieść się w dalekie strony, choćby za morze, ażeby tylko w nowym trudzie zapomnieć o nieszczęściu, które go dotknęło.

Pozostać dłużej tu, gdzie wszystko przypominałoby mu ukochaną dziewczynę, nie chciał i nie mógł.

Przedtem jednak uważał za swój obowiązek napisać do pani Bolewskiej wyznanie szczere, usprawiedliwiające ten jego zamiar. W liście napomknął z żalem, choć nawiasowo, że gdyby był miał za sobą poparcie matki, możeby p. Antonina nie odepchnęła go była z takim oburzeniem, że jednak teraz, wyjeżdżając na zawsze, nie czuje żalu do nikogo, prosząc owszem Wszechmocnego o pomyślność dla całego ich domu.

W dwie godziny potem otrzymał zwięzłą odpowiedź pani Bolewskiej: „Muszę się z panem rozmówić natychmiast i ocenić z pewnością“.

— Czego może chcieć odemnie?—pomyślał z gorączką—zwrócić mnie nanowo do Anieli? albo może zniewolić Antosię wbrew jej chęci? Przenigdy nie przyjmę takiego daru! Jeżeli mnie kochać nie może, nie jej nie przekona, a ręki jej z poświęcenia dla woli matki nie wezmę.

Szedł więc zbolony, zawzięty w swem postanowieniu i nieładzący się żadnym promykiem nadziei. Zamało był romansowym, ażeby wierzył w cudowne przeistoczenia, a zanadto praktycznym, ażeby dał w siebie wmówić to, co wydawało mu się niemożliwym.

Zastał p. Bolewską z poważnym smutkiem na twarzy. Podała mu rękę serdeczniej, niż kiedykolwiek, mówiąc:

— Podczas nieobecności pańskiej zaszły takie wypadki, że już pierwsza chciałam poprosić pana do siebie, gdybyś pan na szczęście nie był sam napisał. Przebacz mi pan, że postąpiłam z panem, nie jak matka dwojga dzieci, które mają równe prawo do jej miłości.

Pan Kajetan milczał uparcie, sądząc, że będzie miał do czynienia z nową spekulacją przeczona matki.

— Gdy nieobecność pańska się przedłużała—mówiła dalej—Antosia nie chciała wcale wychodzić ze swego pokoju, głodząc się i nie sypiając, a na wszelkie nasze dopytywania się i prośby odpowiadała załamywaniem rąk i płaczem. Dopiero przed kilku dniami, gdy potrzeba było wezwać lekarza, przyznała się nam do rozmowy z panem, rozpaczając, że przez nią zerwał pan z Anielą. Biedne dziecko! Anielca pierwsza uczuła swą winę, błagając o przebaczenie, a ja po wielu, wielu usiłowaniach wyrozumiłam z niej, że nie chce stawać na drodze Antosi.

P. Kajetan wykrzywił mimowoli usta pogardliwie—ciągle przeczuwając nową spekulacją matki. Spozstrzegła szyderski uśmiech pani Bolewska.

— Niedowierzenie pańskie słowom matki słuszną jest dla mnie karą, lecz idź sam się przekonaj!

Wskazała mu ręką pokój córki. P. Kajetan jednym skokiem znalazł się przy Antosi, która, zaploniona ze wstydu, odwracając głowę, ażeby ukryć blask swych oczu, wyciągnęła do niego obie rączki.

Pan Kajetan przycisnął je z taką siłą do ust swoich, że główkę przechylił ku sobie, a wtedy, ujrawszy te oczy, nie wątpił, że niema na całym świecie szczęśliwszego odea człowieka.

IX.

Zaprzeżony powóz w dwa dzielne gniadosze stoi przed domkiem pani Bolewskiej. Stangret trząskając z bicza na znak, że już czas w drogę, ale trzaskania nie słyszy nikt, bo właśnie Antosia klęczy na nogi matki i szlocha, żegnając się z tem wszystkim, co jej było tak drogie dotychczas. Aniela, blada, ze łzami w oczach, patrzy na swą siostrę z takim rozrzewnieniem, jakby ją miała utracić nazawsze. Pierwszy raz uczuła w sercu, że z tą dziewczyną, która służyła jej zawsze za cel wybryków humoru, rozstać się jej trudno. Teraz pozostanie sama z matką, a ścian smutnego ich domku nie rozweseli nigdy śmiech srebrnego głosu Antosii, ani jej dziewczęce psoty, o które często się gniewała, a które teraz wydałyby się jej najśladzą rozrywką.

Antosia, śmiejąc się przez łzy, odrywa się nareszcie od stóp matki i rzuca na szyję Anieli, której długo puścić nie chce.

— Aniellciu... mamoc... przebaczenie mi wszystko złe, com wam wyrządziła, a jeśli macie kropelkę miłości dla mnie, to mnie odwiedźcie, jaknajprędzej, za tydzień najdalej... Prawda, panie Kajetanie — odwróciła się do tuż stojącego i patrzącego ze wzruszeniem na to pożegnanie — że przyjmiecie ich z najwzruszą radością?

— Alboż nie proszę, ażeby zaraz z nami jechali i nazawsze zostali przy nas?

— Trzeba wam wiedzieć, moje drogie — zawołała z pewnym tryumfem Antosia — że pan Kajetan pierwszy prosił mnie o to, ażebym u was wymodliła zamieszkanie z nami nazawsze.

— Byłoby nam wszystkim wesoło, a ręczę panie Anieli — dodał żywo Kajetan — że potrafiemy się zastosować do każdego jej życzenia.

— Niedobrzy! — odrzekła Aniela — nie uwierzycie, że i ja inną być potrafię, niż dotąd byłam, i że jeżeli dotychczas znaliście mnie z kaprysów, odtąd nie usłyszycie o nich nigdy. Antosiu, droga, gdybyś wiedziała, jak mi się ciężko rozstać z tobą!

— A mnie! — wybuchnęła głośnym szlochem Antosia.

— Uspokój się, uspokój, bo mnie wstyd. Byłam złą i leniwą; teraz przynajmniej będę się starała choć trochę zastąpić ciebie przy mamie.

— O moje drogie dziewczyno! — Pani Bolewka przycisnęła obie córki do serca i tuliła je rozrzewniona.

Płacz się wzmagał, co widząc, p. Kajetan odezwał się wesoło:

— Cóż to moje panie, płaczecie jakgdyby Antosia wyjeżdżała z jakimś potworem? Zobaczmy, czy gdy przyjedziemy tu po was za tydzień, będzie myślały o płaczu!

— Kochaj moją córkę! — zawołała pani Bolewka.

— Matko droga! — odrzekł mężkim, dźwięcznym głosem — nakazujesz mi to, bez czego żyć bym nie mógł. Zatem w drogę, pani moja.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Listopadzie 1884 r.

Cały miesiąc ubiegły był porą bardzo ożywioną w dzielnicy naszej; odbywały się bowiem d. 28 Października wybory do sejmu niemieckiego, a na kilka tygodni przedtem wrzał już ruch wyborczy. Nie poszczęściło się tymczasem, ani Poznańskiemu, ani Prusom Królewskim. Utraciliśmy po jednym mandacie w każdej z tych prowincji; obecnie mamy ich tylko razem szesnaście,

kiedy w ubiegłym trzyleciu sejmowem liczba posłów polskich wynosiła 18. Ale i ta garstka nie będzie bez znaczenia w dynamice sejmowej. Jak w poprzednich okresach, tak i teraz zdarzy się niejedno głosowanie, w którym posłowie polscy zajmą stanowisko rozstrzygające o większości. Do nowego koła poselskiego weszło i sześciu nowych ludzi, odświeżając zastęp znudzony już, wobec twardej warunków bezwzględnej, ale niemniej obowiązującej, walką z wrogami żywiołami. Wspólności religijnego interesu od początku *Kulturkampf* skłania delegacją polską do ściślejszego związku ze stronnictwem katolików niemieckich, zwanem *Centrum* (Środek). Koło poselskie już się ukonstytuowało, pod przewodnictwem seniora swego, wiekiem i latami służby parlamentarnej, p. Magdzińskiego. Ostatnie wybory we wszystkich okręgach, z wyjątkiem tylko Poznania, do wiodły zupełnej karności naszego społeczeństwa, w chwili bojowej potrzeby. Tak wiejska jak miejska ludność, w wysoko rozwiniętym już poczuciu obywatelskiej powinności, cisnęła się do urn wyborczych, a choć nie udało nam się zdobyć więcej mandatów poselskich, świeżo jednak odbyte wybory wykazały przyrost 80,000 głosów polskich, nad liczbę oddanych przed trzema latami. Jedyną fałszywą nutę w tem zgodnym spełnianiu obowiązku narodowego stanowiła, liczebnie nie wielka, ale gorsząca, secesja poznańska. Skutkiem nieuczciwych podżegań złośliwego pisemka przed kilku laty założonego, powstało samowładstwo nieuznające powagi i moralnej władzy centralnego komitetu wyborczego na prowincyi naszej i, nieposkromione żadnymi napomnieniami i groźbami, zamieniło kilka przedwyborczych zebrań w Poznaniu w burdy wrzaskliwe, przypominające bolesne błędy dawnych wieków, — przeciwko kandydaturze p. Stef. Cegielskiego — tyle miłej i zaszczytnej dla miasta, w którym ojciec jego zostawił nieskalaną pamięć poczciwej pracy i nauki, obok znakomicie prowadzonego przedsiębiorstwa przemysłowego.

Grono wichrzycieli pokątnymi intrygami jeło agitować, burzyć, siać namiętność i niezgodę. Wkońcu stronnictwo porządku zwyciężyło, i młody spadkobierca zasług ojcowskich, p. Stef. Cegielski, otrzymał mandat poselski z miasta i powiatu poznańskiego, a to znaczną i stanowczą przewagę głosów. Przeszło tysiąc wyborców przystało nieopatrznie do owego warcholstwa i wrzuciło głosy swoje w błoto, co w naszych stosunkach, już i tak naprężonych, choćby nie przyniosło bezpośredniej szkody jako fakt polityczny, przynosi ją jako fakt ujemny pod względem moralnym. Wszelkie zrywanie solidarności jest u nas czynem lekkomyślności; dając zły przykład wytwarza niedobry precedens na przyszłość.

Zaledwie ucichła walka wyborów do parlamentu niemieckiego, nową wywołały gorączkę wybory miejskie. „Kto sieje wiatr — zbiera burzę“, mówią Niemcy. Są widać u nas ludzie, którzy burze, nawet bratnie, lubią, choćby dla zastosowania znanego przysłowia o mętnej wodzie, ułatwiającej osobisty polów.

Goniec Wielkopolski tanioczą i przystępnoczą swoją, równie jak przynętą paszkwilowej treści zjednał sobie znaczną ilość prenumeratorów. Zrazu lekceważono sobie ową niezdrówą narośl na naszym społecznym organizmie. Nie odpowiadano wcale na zaczepki i obelgi. Ocknęły się nareszcie poważniejsze koła czytelników i uznały, że to milczenie pod hasłem pogardliwego: *Guarda e passa* nie jest wcale właściwym środkiem do wytepienia pleniących się z dniem każdym szkodliwych wpływów. Walka ze złą prasą, z podstępem działaniem „*Gonca*“, jest dziś na porządku dziennym. Zewsząd podniosły się głosy ostrzeżenia, społeczność nasza odwraca się ze wstrętem od brudnego pisemka i redaktorów jego. Inne czasopisma zniżyły swą cenę, aby trafić do mniej dostatnich czytelników. Jest mowa o założeniu wspólnymi siłami dziennika zachowawczego, któryby wyparł „*Gonca*“ z miasteczek i wsi naszych. Wydany przed kilku miesiącami *List otwarty* Dra Witolda Skarżyńskiego pełną ręką rzucił posiew dobrych i mądrych myśli polityczno-społecznych. Obok zamiaru ześrodkowanie szczupłych sił naszych w mniej rozstrzelonych usiło-

waniach i wydawnictwach p. Skarżyński zaproponował rdzeną przemianę w dotychczasowym stanowisku Koła Polskiego na sejmach berlińskich, a mianowicie czynniejszy udział w pracach parlamentarnych, uczestniczenie w komisjach, występowanie w kwestjach nawet bezpośrednio nieobchodzących nas wcale — byle zerwać z tradycją bezczynnego protestu, który nam samym korzyści nie przyniósł, a sejmowi niemieckiemu nie pozwolił poznać i ocenić sił naszych w tej własnej pracy, do jakiej były powołanemi.

Socjalizm groźnie wystąpi na tle pomysłnych rzekomo stosunków Cesarstwa Niemieckiego. Wzrost nagły, pozornie stłumionej, zarazy przeziębienia głębiej myślących ludzi. Siedmkroć sto tysięcy głosów jawnie padło na 24 posłów socjalistycznych, zasiadających dziś w sejmie, a na parękroć sto tysięcy ocenić można te głosy, które się socjalistom zmarnowały po różnych okręgach, albo w bezskutecznej walce, albo też w zupełnej bezczynności. U nas również to złe społeczne, choć wątle jeszcze i niesmiałe, wychyla jednak głowę. Znalazł się i dla Poznania kandydat socjalista, niejaki Janiszewski, dla którego podstępnie werbowano głosy jednolitością nazwiska, z biskupem suffraganem poznańskim. Mimo tych wszystkich użytych sprężyn zaledwie kilkadziesiąt głosów na owe manowce wywieść się dało. Mamy ostatecznie otuchę, że społeczność nasza zbyt jest dotąd zdrową, poczciwą i nawskroś chrześcijańską, aby mogła uleść podszeptom socjalizmu.

Wszelako nędza jest złym doradcą, a tego lekac się trzeba wobec spotęgowanego ostrą i wczesną zimą ubóstwa. Przesilenie materyalne nie samych tylko rolników dosięga. Zaciążyło ono złowrogo i na miejskiej ludności, wśród której bieda występuje coraz dotkliwiej. Przemysłność kierowników i przewodników dobroczynności w naszym mieście i dzielnicy ima się już rozmaitych pomysłów, aby podwoić dochody płynące z kieszeni możniejszych w dłoń żebraków i nieszczęśliwych. Mnożą się loterye, zapowiedziany jest koncert ze spółdziłem Mo drzejowskiej. Nie brak zresztą wskazówek, że zbliżająca się zima ożywi miasto wielokrotnymi obywatelskimi zjazdami. Na Styczeń zapowiada się p. Mierziński, okryty laurami zdobytymi w Wiedniu, w towarzystwie sympatycznej berlińskiej śpiewaczki, Pauliny Lucca. W połowie Grudnia przybędzie do nas Waleryan Kalinka, autor historyi *Sejmu Czteroletniego*, aby powtórzyć dla Poznania odczyty „O generale Chłapowskim“, miane z kolei we Lwowie i Krakowie. Oczywiście, tak imię prelegenta, jak przedmiot i treść jego prelekcji szczególnie mieć będą znaczenie dla publiczności, wśród której generał Chłapowski przez tyle lat pracował, zostawiając całość dzielnicy naszej wzór i przykład szlachetnego trudu i umiejętnego zaznajomienia się z rolą ojczystą i ludem swej pieczy poręczonym. Tyle się u nas dochowało i wzrosło z posiewu znaną dłonią Chłapowskiego rzuconego, iż zapowiedź głośnego hołdu, jaki mu x. Kalinka zgotował, powszechnie u nas wywołała zajęcie i radość.

Jak wiadomo, życie towarzyskie w stolicy naszej rozbudza się tylko sztucznie i dorywczo, z pomocą przybywających zdaleka podniet i żywiołów. Czy się znajdzie miejsce, na zabawy, na zapusty? — niewiadomo. Spadnięcie cen zboża, ruina wielu fabryk cukru, ogólna niepomyślność majątkowa: wszystko to przynębiająco oddziaływa na ogólne prowincyi naszej usposobienie. Przytem liczne a dotkliwe żaloby osłoniły kirem wiele z najprzedniejszych domów. Poważny też nastrój przemaga w społeczeństwie, trzeźwo patrzącem na zagrożone ze wszech miar położenie swoje.

Odezwa siedmdziesięciu dwóch obywateli, którzy nawoływali w minionym roku do rozsądku, oszczędności, pracy, prostoty i staranności, nie przebrzmiała dotąd: owszem, popierają ją ustawicznie coraz-to nowe głosy. Wiadomo jak znaczenie grono córek wielkopolskich pobiera wychowanie w zakładach zakonnic Przenaj. Serca w Pradze. Przeniesiony tamże z rozpoczęciem *kulturkampf*, pensjonat nie zatracił swej polskiej cechy; gromadzi dotąd liczny zastęp naszych pa-

nienek. Światło ich przewodniczki, wiedząc jaką przewagę mieć może wpływ niewieści w kierunku domowej oszczędności i pracy, wydały świeżo rodzaj okólnika do swych dawnych pensjonarek, nawołując je do walki ze zbytkiem i wskazując moralną i materyjalną potrzebę dobrego przykładu: skromności w strojach, w wymaganiach i przyzwyczajeniach. Hasła tedy w pamiętnej obywatelskiej odezwie postawione nowy dziś odgłos znajdują, a raczej pewniejsze poparcie, z tej właśnie strony, z której, niestety, zwykły płynąć zębny prąd lekkomyślnych wydatków i zbytku. Oby tylko panie nasze usłuchały roztropnego dawnych swych mistrzyń głosu!

Ruch księgarski wydawniczy ożywia się z nastaniem pory zimowej. Zgon zasłużonego wydawcy J. K. Żupańskiego nie przerwał dalszej działalności firmy, słynącej w kraju całym. Z nowych wydawnictw wspomniemy *Pamiętnik generała Małachowskiego*, wydany przez Wincentego hr. Łosia.

Pan Kazimierz Jarochoński coraz-to nowe karty dodaje do dziejów saskich monarchów z XVIII-go stulecia, udzielając swym kolegom z Towarzystwa Przyjaciół Nauk pierwocin z każdej niemal pracy. Obok jego uczonych i ciekawych odczytów stają i owoce pierwszych trudów sił młodszych, świeżych. Nowy członek Towarzystwa, p. Włodzimierz Kozłowski, dawszy się już poznać zajmującym przed kilku miesiącami odczytem „O krytyce literackiej w kraju naszym“, świeżo wystąpił z pociągającym wizerunkiem Waclawa z Oleska, ojca dzisiejszego namiestnika Galicji, Filipa Zaleskiego, który z takim zamiłowaniem badał i gromadził skarby pieśni gminnej, owej Mickiewiczowskiej arki przymierza. Wybitna postać Waclawa z Oleska pozwoliła młodemu prelegentowi ugrupować naokoło niej społeczne grono pracowników w różnych kierunkach, którzy dali pochop i popęd dzisiejszym usiłowaniam na polu badań przeszłości.

Zpomiedzy nowych książek mało która tak pożyteczną być-by powinna, jak *Studia literackie* profesora Nehringa z Wrocławia. Na wstępie dorzucił on nowy pęk światła do tylokrotnie opracowywanej już pieśni św. Wojciecha, wykazując pokrewieństwo, niemal identyczność, hymnu *Boga-Rodzica*, z czeską pieśnią *Hospodyne pomiluj*. Tożsamość tekstu, ułożonego w czasie, gdy różnica między obu językami była nader małą, utwierdza w domniemaniu, że autorem tego utworu jest św. Wojciech. Nie pierwszy raz te uczone dociekania służą do wykazania mocy i prawdziwości tradycyi. W chwili przygotowywania wspólnej pielgrzymki do grobu św. Metodego na Welehradzie Morawskim, w tysiączną rocznicę zgonu świętego apostoła, praca p. Nehringa przyczyni się do zacieśnienia w umysłach spójni szczepowej, z tak sympatycznymi dla nas od kilku lat Czechami. Podczas gdy w Czechach hr. Belcredi stanął na czele komitetu urządzającego rzeczoną pielgrzymkę, w Poznańskim hr. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström, pp. Ludwik Graeve i Kazimierz Jarochoński podjęli inicjatywę w kierowaniu ruchem pątniczym, a książkę *Zdzisław Czartoryski zamierzył sobie objechać południową Słowiańszczyznę i ma być w tych czasach przedstawicielem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk na zapowiedzianym w Pradze zjeździe uczonych.*

Ale wróćmy do książki wrocławskiego profesora. Zebrał on w swych *Studiach* pojedyncze rozprawy, dotyczące przedmiotów z różnych literatury naszej epok zacierpiętych. Rok jubileuszowy Kochanowskiego odbił się ładną pracą o *Trenach* z wykazaniem związku pojęć poety z filozofią Seneki i Cyserona, oraz estetyczną, dość ostrą, krytyką *Odprawy posłów*, wyjaśniającą, i pierwiastek klasyczny i zastosowanie patryotyczne tego utworu. Mniej zajmujące są artykuły o Kochanowskim i Morsztynie. W pracy o Krasicim autor stawia domysł, że niektóre poemata Biskupa Warmińskiego stanowiły ukrytą krytykę społecznych osobistości, coś nakształt dzisiejszych *livres à clef* i paszkwilowych lub portretowych powieści. Najciekawszymi nam się być zdają rozprawy dotyczące Mickiewicza, dlatego samego, iż mało kto u nas tak sumiennie i ściśle pracował nad zbadaniem myśli przewodnich i pism

jego, mało kto tak do gruntu je poznał i zgłębił. Przypomnijmy tu nader ciekawe studium p. Nehringa nad *Panem Tadeuszem*, w którym rozpoznał brak jednolitości ciągu i natchnienia, mianowicie w pogmatwaniu chronologicznem następujących po sobie dni tygodnia. Pokazało się, iż przez nieuwagę poety łowy przypadły na Niedziele, wbrew starodawnemu obyczajowi, w Piątek zaś szlachta zjadła w najlepsze zrazy i wędlinę, co, oczywiście, stać się musiało przypadkowym niedopatrzaniem autora, malującego tak wiernie rodzime stosunki, lecz nawiązującego luźne fragmenta w jedną całość. Rzut pierwszy *Pana Tadeusza* znalazł się pono w poemacie *Legionista*, przerobionym i poskładanym następnie w dzieje Soplicowa i litewskich zaścianków. W nowej swej rozprawie p. Nehring śledzi wpływ osobistych wspomnień i wrażeń Mickiewicza na rozwój poematu, a mianowicie wykazuje identyfikacją Jacka Soplicy czyli Robaka z samym Adamem. Dzieje własnej miłości poety dla Henryetty Ankwiczówny, jak wraz przystają do smutnej historii dumnego Stolnika. Doznane zamłodu rozczarowanie odbija się w ogólnem pojęciu niewiasty polskiej, która przecież nie jest ani taką, jak Zosia, gaską, ani starą, jak Talimena, kokietką. Właściwego ideału kobiecego nigdy Mickiewicz nie stworzył. W studium nad *Wallenrodem* i *Grażyną* znajdujemy zajmujący fakt odszukania fabuły do *Wallenroda* w starej *Historji Prus* Kotzebuego, wyszłej w r. 1808.

Jakby z konieczności nierozdzielania trójcy wieszczów naszych, bezpośrednio po Mickiewiczu następują rozdziały poświęcone Krasińskiemu i Słowackiemu. O tego ostatniego toczy p. Nehring polemikę z twierdzeniami i ocenami hr. Stanisława Tarnowskiego, dotyczącymi *Baladyny* i *Lilli Wenedy*. Rozprawy o *Irydyonie* i *Nieboskiej komedji*, jakkolwiek niekażdy się zgodzi na wszystkie poglądy autora p. Nehringa, rozświecają niejedną ciemną myśl poety i dają klucz do zrozumienia wielu mniej zrozumiałych ustępów.

Zgłuchły dziś na lutniach rozstrojonych dawnej religijności, a zarazem i wymowa zamilkła: tem skwapliwiej gromadzić potrzeba pozostałe odgłosy oniemiałych kościelnych sklepień. Jednym z takich wybitnych mówców religijnych naszej epoki był zmarły przedwcześnie w Poznaniu x. Alexander Prusinowski. Skargowską iście powagę słowa oblekał on w kwiat poezji i czar żywego, gorącego uczucia. Przygodne jego mowy, rozproszone lub niedrukowane wcale, złożono obecnie w całość tem ciekawszą, iż w niej znaleźć można, nie tylko arcydzieła krasomówstwa religijnego, ale i wierne odbicie okresu czasu, w którym potężny głos Prusinowskiego grzmiał nad każdą świeżo otwartą mogiłą i do każdej ważniejszej okoliczności się dostrajał. Konserwator zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. Klemens Kantecki, poprzedził zbiór mów i kazań x. Prusinowskiego zajmującą i z wielkim ciepłem napisaną biografią tego znamienitego męża, który w tylu szrankach czynnie występował, jako poseł, redaktor kilku czasopism, kapłan gorliwy, miłośnik literatury ojczyznej i jej zabytków, wielki znawca i zbieracz bibliograficznych ciekawości. Biblioteka x. Prusinowskiego stanowiła zbiór rzadki obfitujący w kruki, które, niestety, z przedwczesną śmiercią właściciela rozproszyły się niepowrotnie.

Wydawnictw ludowych nie braknie w Poznańskim i Prussach Zachodnich. Bez pochlebstwa lba się tu szczerze o oświatę włościan. *Straż świętego Wojciecha* z jednej strony, *Towarzystwo czytelników ludowych* z drugiej—przymnażają tanich i przystępnych wydawnictw. Nie brak i pojedynczych książeczek, które w tysiącznych egzemplarzach wiodą bój z gorzałką, tą plagą wsi i miast naszych, z wychodźstwem do Ameryki lub fabryk niemieckich—słowem: ze wszelkimi zarazami zagrożeń dla miejskiej i wiejskiej ludności.

Ostatnia powieść Sienkiewicza miała i u nas przynależny rozgłos i powodzenie. Z tem większą też radością publiczność nasza powitała wiadomość, iż *Potop*, nowy utwor tak utalentowanego powoiciopisarza, jednocześnie wychodzić będzie w trzech narządzeniach: w *Słowie warszawskim*, *Czasie* krakowskim i *Kuryerze* po-

znańskim. Wojny Szwedzkie, Konfederacja Tysszowiecka: oto tło owego historycznego opowiadania na którym przesunąć się ma niejedna dawniejsza z powieści *Ogniem i mieczem* znajomość.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Sienkiewicz Henryk: Ogniem i mieczem, powieść z lat dawnych wydanie drugie, przejrzone i poprawione, 4 tomy. (T. I str. 274, T. II str. 290, T. III str. 318, T. IV str. 233). Warszawa 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, druk S. Niemiery, 12-mo.

(Dalszy ciąg, ob. N. 49).

Niewłaściwe postępowanie z kozakami rejestrowymi i z całą masą ludu zbrojnego, zesrod-kowanego na Niżu, ale rozproszonego także ponad Dnieprem, na północ i zachód od porohów, aż pod Kijów, odbiło się straszliwym wpływem na stosunkach agrarnych Ukrainy. Tylko państwo w dzisiejszem pojęciu, z dzisiejszą organizacją, mogło bezkarnie pomyśleć o takim zmedyatywowaniu kozaków, na jakie się odważyła konstytucja r. 1638: Polska ówczesna przez samo podjęcie takiego zadania wyzywała przeciw sobie los zawistny. Nie zamieniono zbrojnym w chłopstwo; oswojono tylko chłopstwo z myślą, że i ono także może być zbrojnym. Kozacy, rejestrowi i nieregistrowi, siedzący pomiędzy ludem na Ukrainie rzucali ciągle żarzewie. Takim kozakiem był Chmielnicki. Kwestya agrarna, nieznaną w Europie całej w XVII w., tam, na ukraińskich kresach, występowała jako żywa i paląca. Najgorszem w niej było to właśnie, że nie wybuchnęła wcześniej i doczekała się zbrojnych ruchów Chmielnickiego. Raz wszedłszy na drogę fałszywą: ścieśniania swobód kozackich, wytwarzano coraz więcej wrogich dla Rzeczypospolitej żywiołów. Na Niżu największe niebezpieczeństwo w chwili wybuchu groziło od tych, których nie chciano przyjąć do rejestru; na Ukrainie właściwej najgorszymi byli ci, których w chłopów obrócić postanowiono. Są siedztwo porohów i Niżu podkopywało istotnie pracę rolną na tamtych obszarach, którą pracą tylko zaludniały się i cywilizowały, ale musiało ono być daleko gorszem w stosunkach, jakie wytworzyć usiłowała konstytucja r. 1638, niż byłoby w prawidłowych, jakie po dniach Chocima ustalić się były powinny.

Niema światła bez cienia: wraz z ożywianiem się stepów ukraińskich zaczęły się zagnieżdzać stosunki podobne do tych, na jakie wiek nasz patrzył w Stanach Południowych wielkiej Rzeczypospolitej amerykańskiej. Przerzedzały się lasy, zaludniały pustkowie, powstawały *latifundia*, w których coraz więcej ziemi szło pod uprawę; ale wyrabiało się też i lekceważenie człowieka, który za narzędzie do tej uprawy służył. Kommissarze i starostkowie pamiętali o sobie i na własną rękę, w widokach własnej korzyci, robili to, co im z urzędu nawet dozwolonem nie było. Do wszystkiego złego w stosunkach rolno-ekonomicznych przybyło zarożumienie szlachty o sobie, za Władysława IV wybujałe już nad miarę, i pogarda religijna, zaszczepiana przez fanatyczną reakcją. Te są grzechy, których miłość prawdy, święty względem niej obowiązek, zataić nie pozwala. Ruch r. 1648 *in potentia* istniał już na dziesięć lat przedtem, a największy olbrzym, najohydniejszy szatan, niczego-by nie dokazał z czernią, gdyby ta czerni duchowo do buntu przygotowaną nie była.

Tu znowu wysławiana przez monarchistów polityka królewska na własną rękę najcięższą dźwiga na siebie winę. Wiem, że historia ścisła nie zna żadnych „gdyby“, z tem wszystkim logika sama stawia pytanie: „czy bez samowolnego zaawanturowania się Władysława IV w dalekie widoki polityczne przeciwko Turcyi,—Chmielnicki znalazłby osobistą pobudkę do czynu?“ Błędem, już nawet że stanowiska własnej polityki królewskiej było dawanie Kozakom od siebie tego, co tylko sama Rzeczpospolita przyznać im miała prawo, a czego przyznać później nie chcąc, w Chmielnickim wytworzyła sobie odrazu oso-

bistego wroga. Spór o jakąś slobodę sam jeden nie dokazałby tego co w duszy ambitnego człowieka wydać musiał, kiedy go wsparła zawiedziona nadzieja odegrania wielkiej roli w Wojsku Zaporozkiem, w pokoju i w wojnie. Idziemy nawet dalej i twierdzimy, że nieszcześnie rokowania królewskie postawiły Chmielnickiego odrazu na trójnogu, wyniosły go na czoło kozaczyzny, jako męża zaufania, obudziły w nim samym wiarę że może być czemś więcej, niż prostym setnikiem czechryńskim. Bez takiego usposobienia nawet niedorzeczny upór Koniecpolskiego, dającego posłuch zupełny swemu podstaroście, nie sprowadziłby tego momentu psychologicznego, który potrzebnym był dla wywołania ruchu.

Takie uwagi nasunęła nam epoka *Ogniem i mieczem*. Przechodzimy teraz do powieści. Jest ona epopeją rycerskiego ducha przodków naszych. Rolę bohatera w niej odgrywa ten stan szlachecki, który tyle zawinił, ale który winy swoje umiał jeszcze energią, męstwem, i ostatecznie ocaleniem ojczyzny okupić. Ukazanie tej energii, tego niespożytego jeszcze zdrowia, w szeregu rozpraw bojowych; odmalowanie szlachecka polskiego w życiu obozowym i na polach bitew; przedstawienie całej grozy buntów i uplastycznienie ich czytelnikowi z pomocą wypadków i osobistości historycznych; stałe dążenie do wystawienia owych znojów orężnych z ich strony najkorzystniejszej: wszystko to przebiega się w powieści. Przeważający w niej charakter militarny przyniosła w sobie sama epoka; ale niezależnie od tego powiedzieć potrzeba, iż zewnętrzna zjawiskowość wojenna silnie pociągała autora, niż falowanie wewnętrzne dusz; opisy walk, pochodów bojowych, nawet pojedynkowych rozpraw są gorętsze, z większym zamiłowaniem oddane, niż opisy innych wydarzeń.

Zdaje mi się, że więcej kobietom, które czytały powieść, niż autorowi samemu, który ją pisał, zawdzięcza Skrzetuski to, że go uważają za bohatera utworu. Pamiętamy, jak piękne a zażawione czytelniczki żądały od Sienkiewicza, aby się wszystko szczęśliwie skończyło; dla nich przygoda miłosna p. Jana ze Skrzetuszką była najważniejszą. Fraszka bitwa pod Konstantynowem, fraszka oblężenie Zbaraża, poświęcenie się Podbięty i samego Skrzetuskiego: chodziło o to, czy się wszystko szczęśliwie skończy, czy Helena będzie żoną, a Jan mężem. Małżeństwo—toć to sens moralny życia i lepszego nie potrzeba! Nie dla takich dusz małych pisał autor swą powieść, nie dlatego wywołał cień wielki Jeremiego, nie dlatego tłumy ze stron obu ustawił i morze krwi wylewać im kazał—aby się ostatecznie wszystko na ślubnym kobiercu rozwiązało. Miłość i małżeństwo są tylko epizodami powieści; nie stanowią rdzennej jej treści. Młodość zawsze kochać może, może i musi: kocha się też tych dwoje; ale ich miłość nie występuje na przód krwawej widowni. Bohaterami powieści są te serca, które wiernie dochowywały męstwa, są te ramiona, które jeszcze sztuki pogromów nie zapomniały. Powtarzamy: energia stanu szlacheckiego na polach bitew, a nie energia rodzajowa tej lub owej osobistości, jest rzeczywistym przedmiotem epopei ogniem i mieczem wypowiedzianej. Może być, iż autor zamierzył w początku z miłości indywidualnej uczynić oś obrotową dzieła; ale później, w potopie wydarzeń publicznych, zamiar ten porzucić musiał, a ztąd i Skrzetuskiego w roli bohatera utrzymać już nie mógł. Gdy p. Jana dobrze porównamy z jego rówieśnikami, nie dostrzeżemy w nim zgoła wyższego bohaterstwa. Czemże on lepszy od Podbięty, od Wołodyjowskiego, od Zagłoby? Nad tym ostatnim ma wyższość etyczną, ale taką samą posiadają dwaj jego towarzysze z chorągwi księcia Jeremiasza; bohaterstwo Podbięty lub Wołodyjowskiego niczem nie ustępuje męstwu Skrzetuskiego, o którym nawet powiedzieć potrzeba, że niema tej konstytucyjnej siły, jaką widzimy w „małym rycerzu“. Co więcej, Zagłoba, któremu autor zrobił zbyt wiele miejsca w powieści, daleko więcej działa nawet w zakresie przygody miłosnej p. Jana, niż on sam, bezpośrednio interesowany. Żywioł liryczny: zniechęcenia a później rozpacz, w duszy Skrzetuskiego, większą posiada siłę od żywiołu bohaterskiego. Dotknij-

ty strzałą Amora, nie mógł obojętnie patrzeć na to, jak mu kosa śmierci nadzieje wszystkie podcina; chciał zapomnieć, chciał być silnym, walcząc cicho, poszedł na śmierć męczeńską, ale wrażeń siły szczególnej po sobie nie zostawił. Jest on jako bohater częstką wielkiej osoby moralnej z dziesiątków, może i z setek tysięcy złożonej; i nie wzbija się o własnej sile, nie wystaje ponad innych. Wzroku do siebie przed innymi nie przykuwa. Powiedzmy prawdę: pierwiastek czynny jest w nim słabszy od biernego.

Nie jest także bohaterem książkę Jeremi, nawet w tomie IV, który autor poświęca na oblężenie Zbaraża. Dlaczego się to stało? Może autor nie chciał, a może nie podolał. Nam się zdaje, że powieść ta wogóle ma słabą kolumnę pacierzową. Był duch twórczy, wytrzymały i stojący na wysokości opowiadanych wydarzeń: nie było planu niewzruszonego, któryby wyróżnił rzeczy główne od dodatkowych, bliższe od dalszych, wprowadził perspektywę, wytworzył dla powieści nie tylko rzeczowe, ale i osobiste, psychologicznie jednolite ognisko i wskazał zarazem to, co być musi dla całości odczutego obrazu, a co tylko być może bez szkody dla głównych tej całości szczegółów. O księciu Jeremim autor mówi w kilku miejscach a ukazuje nam go z jakie dziesięć razy, przytacza nawet historyczne jego słowa, charakteryzuje go niezaprzeczanymi przez historię postępkami, składa świadectwo jego wyższości, jako wodza, pozwala nam go raz widzieć w całym majestacie, wyniesionym ponad ambicją i żołąnierskością, otwiera nawet przed nami jego duszę a z piersi jego, w chwili obrachunku z sumieniem, wyrwa rozpaczliwy okrzyk: „Chryste Panie, zmiłuj się nademną“: pomimo to wszystko jednak Jeremi nie przykuwa wzroku naszego tak, jak postaci drugorzędne, jak jego rycerze: Skrzetuski, Wierszull, Wołodyjowski, Podbięty. Wobec realistycznego rysunku tej szlachty rycerskiej, książkę występuje już tylko jako abstrakcyjne odbicie żywego człowieka. Autor starał się zebrać i dodatnie i ujemne rysy jego charakteru i działalności (T. I, str. 94/6), w chwilach stosownych malował nam jego niezłomną energią bojową, jego rozum i przenikliwość wojskową, jego dążności polityczne: ale z tem wszystkim nie są to dzieje straszne Jeremiego; kto inny jeszcze odmalować je będzie musiał, aby potężną tę indywidualność, dotychczas wskrzeszenia w historii i sztuce oczekującą, przed oczy dzisiejszego pokolenia postawić. W każdym razie nie znamy utworu literatury ojczyznej, któryby z taką nawet wybitnością, jak w tej powieści odtworzył postać znakomitego żołnierza, ostatecznie może wielkiego możnowładcy polskiego, którego potomność przeklinać nie potrzebuje.

Sienkiewicz, starający się w stosunku do przeszłości być jak syn dobry względem matki, i głównie dlatego usuwający genęzę ruchu, przekleństwem najdalszych wieków obarczonego,—nie miał przecież dla Wiśniowieckiego upojenia, nie zrobił go archaniołem, nie ukazał doskonale czystym, bez plam i błędów. Jego srogość, jego niemilosierdzie plastycznie się nawet na kilku kartach powieści malują. Narzekającemu na swawolę innych autor wytyka własne targnięcie się na majestat prawa. Widocznie, starał się mu przyjrzeć z niejednej strony, aby nie sfałszować historii; wiedział bowiem, że co innego jest wytwarzanie własnego świata imaginacji ze składowych części świata rzeczywistości, a co innego kaleczenie prawdy.

Bierzemy tu autora wyraźnie w obronę od napaści, jakie go spotkały. Z dodatniego przedstawienia księcia Jeremiasza, z przekleństw i złorzeczeń Zagłoby, z czarnego upostaciowania Chmielnickiego i jego zastępów bojowych—wyprowadzono wniosek: że Sienkiewicz przeistoczył prawdę; że w powieści swojej chciał przeprowadzić jakąś dążność możnowładczą i gnuśnie-szlachecką; że, jak tonący chwytła się brzytwy, tak on, tonąc imaginacją w potopie wydarzeń, a nie powodując się wskazówkami krytyki, chwycił się ostrza niebezpiecznej historyzofii i socjologii historycznej. Zarzuty takie wychodzą z tej strony, w której na dzieła sztuki zwykło się patrzeć, jak na referata biurowe. Istne trzęsienie serca wywołuje w takiej krytyce zawsze kwestya ten-

dencyi. Dzieło, które im dasz, dramat, czy komedia, powieść czy liryka, musi być przede wszystkim wyrazem pewnej prawdy rozumowej, w najobszerniejszym znaczeniu socjologicznej. Patrzy się w tym obozie na dzieło, jak na czyn z zamiarem—czyn, który według istoty zamiaru mógłby się okazać kryminalnym. Ta trzeźwa pozytywna krytyka, nierozumiejąca zgoła artyzmu, nie rozumie i praw artysty do zupełnej niezależności od poglądów, przekonań, sądów, od całego rynsztunku krytycznego epoki tworzeniu współczesnej. Tego, żeby się dzieło w uczuciu autora poczęło, a w uczuciach czytelników rozpląnąć mogło, nigdy tam nie pojmą. Na rzeczywistość tendencją sztuki, na tendencją uczuciową, nie ma się tam wzroku, zmysłu, rozumu. Sztywność i oschłość są w tej szkole tak wielkie, że nie młodzieniaszkowe już wyroczenie, jak swego czasu u nas bywało w *Opiekunie domowym*, ale prawdziwie tęgie umysły wierzą w możebność jakichś stałych naukowych prawideł dla piękna, w jakąś mądrość, która kiedyś, kiedyś w szczęśliwszej przyszłości, nie poprzestanie na tem, że pozwoli, bez zawodu dobrze, tworzyć talentom już gotowym, ale nawet i same tetalenta przygotować będzie. Nic dziwnego, że taka estetyka doprowadzić musiała wyznawców swoich do złamania miecza nad Sienkiewiczem. Pod sądny chciał być i był artystą; sędziowie kazali mu być historykiem, historyzofem, socjologiem—a czemużby nawet nie ekonomistą politycznym? Jako autor powieści historycznej, miał Sienkiewicz obowiązek uszanować historię; krytyka zrobiła mu zarzut z tego, że nie poszedł do kuchni historycznej, że nie pisał powieści tak, jakby pisał rozprawę z zakończeniem: *quod erat demonstrandum*.

Jakąż to Sienkiewicz gwałcił prawdę historyczną, gdy ukazywał w Filipowie (T. II, str. 109) pięć ściętych głów kozackich, a Suchejręce, wbitemu na pał, kładł w usta straszliwe przekleństwo (tamże); gdy Zaćwilichowskiemu kazał boleć nad wojną bratnią (T. I, str. 140); gdy wojewodę kijowskiego Tyszkiewicza ośmielał do rzucenia Wiśniowieckiemu w żywe oczy tych słów tak doniosłych (T. II, str. 186): „Z męstwa należało ci się słusznie (regimentarstwo), wszelako może i lepiej, żeć go nie oddali, bo ty-bys bunt, ale z nim razem i tę nieszczęsną ziemię we krwi utopił“; gdy samemu Chmielowi pozwalał krytykować (T. I, str. 193) gospodarstwo możnowładcze na Ukrainie w duchu *Dwóch lat dziejów naszych*; gdy przypomniał Wiśniowieckiemu, że i on sam, narzekający na samowolę innych, uległ był także w danej chwili popędowi samowoli (T. II, str. 119); gdy wreszcie przytaczał instrukcją daną w Pohrebyszczu (T. II, str. 152) i t. d.?

Czyliż tego wszystkiego nie dosyć? Co mógł więcej zrobić artysta? Może w jaśniejszych barwach przedstawić miał człowieka, który był „lwem i orłem, wężem i lisem“; może miał nadać mu większą wydatność bohaterską, zrobić go entuzjastą, apostołem, mężem stanu, znakomitym politykiem, dyplomata? Zostawił to zadanie innym, aby się mordowali nad niem, nie gwałcąc prawdy dziejowej. Sam wołał malować to, cośmy już za artystyczny przedmiot w powieści *Ogniem i mieczem* uznali: energią stanu szlacheckiego. Szukając punktu, z któregooby mógł odtworzyć najpiękniejszy obraz dziejowy z tej epoki, tak bogatej w różnorodność fenomenów i nadzwyczajność życia, stanął Sienkiewicz tam, gdzie było serce Polski—i dobrze stanął! Bez wątpienia, mógł być wprowadzić nieco odmiany w jednostajnie czarnym kolorycie, w jakim trzymał stronę przeciwną; ale rysem charakteru Chmielnickiego (T. I, str. 253) obrazami tych narad, tych krzyków, sądów doraźnych, mordów, okrucieństw, pijaństw, gburstw i zabijatyk wreszcie tej, socjologii ciemnoty (T. II, str. 77), nie sprzeniewierzył się historii, bo to wszystko było—jako żywo, było, a człowiekowi tworzącemu piękno nikt nie może narzucać pęt, jakeimi samo powołanie krępuje historyka. Jeżeli już konieczne nawet sztuka processować się musi, wolno artyście w tym processie być stroną, a nie sędzią. W żadnym razie nie ma on obowiązku dać wszystkiego, co było; wolno mu wybrać co zechce, co jego serce fantazyją twórczą najsilniej przyciąga. Jego już rze-

czą jest wybrać; rzeczą krytyki patrzeć: czy z tego wyboru skorzystał, czy stworzył dzieło żywe a piękne, czy zdołał obrazy swoje odbić na wyobraźniach czytelników, czy ich zajął, pociągnął, zapalił, czy przemówił do ich serc — ostatecznie: czy wzruszył? — bo powiedzmy to sobie narazie, że *wzruszenie* jest jedynym celem sztuki, tak, jak *przekonanie* — jedynym znowu celem nauki i umiejętności.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Grudniu 1884 r.

Jeszcze słowo o kobietach. — Kapłanka sztuki i kapłanka dykalizmu. — Pani Sembrich Kochańska; jej powodzenie i wziętość w Paryżu; jej wdzięk jako kobiety i Polki. — Przepowiednia Kraszewskiego o jej przyszłości. — Więzień Magdeburgski i nowy proces. — Agencja tajemnych informacji w Paryżu. — Pani Janina Hugues, żona posła z Marsylii. — Zamordowanie agenta Morina. — Przebieg tej sprawy. — Tutaj i u nas. — Pani kapitanowa Sztoflcowa i jej sprawa honorowa z Turkulem. — Nowe książki: *Wspomnienia o Lamartine'ie*. — Przykre wrażenie, jakie sprawiają. — *Historja Akademii za czasów Dyrektoryatu*, przez Juliusza Simon'a.

Wracam tykoco z wieczora u jednej z najwybitniejszych tu osobistości naszych polskich: od Doktora Xawerego Gałęzowskiego, gdzie miałem przyjemność spędzić kilka miłych godzin w towarzystwie Pani Marcelli Sembrich-Kochańskiej. Jeżeli znakomita artystka szeroko tu zasłynęła w świecie muzycznym — a zasłynęła tak sprawiedliwie — to w małym, przyjacielskim i jakby rodzinnym kółku oczarowała nas prawdziwą prostotą i tym wdziękiem, niewyszukanym, niewymuszonym, który nam wszystkim tak żywo przypomniał rodzinne strony.

Nie chcę tu się wdawać w muzyczne sądy o talentcie, głosie i metodzie. Słyszeliście śpiewaczkę i znacie lepiej, niż my nawet. Ale ponieważ sąd paryzki jest uważany zwykle jako najwyższe poświęcenie talentu wielkich artystów, to jedno dodać więc muszę, że pani Kochańska miała tu powodzenie niesłychane od czasów Adeliny Patti. Można sprawiedliwie powiedzieć, że Teatr Włoski, od czasu opuszczenia teatru Ventadour odsunięty na drugi plan i zaniebany przez publiczność tutejszą, wrócił dziś nagle prawie do dawnej świetności. A ten szczęśliwy powrót winien jest naszej znakomitej rodaczce, której słowicze dźwięki oczarowały, zachwyciły tutejszą publiczność i nakazały jej wrócić do dawnego zapomnianego zwyczaju: *stuchania włoskiego śpiewu*. Pokazać się w łoży, lub w krzesłach Włoskiego Teatru — stało się dziś jedną z tych konieczności, której żaden z wybranych koryfeuszów elegancyi nie zapomni dopełnić.

Ale to powodzenie, ta wziętość naszej rodaczki, jakkolwiek głaszczą me serce, nie są to przecież najpierwsze i najgłówniejsze powody mojego uznania dla niej. Co mnie przedewszystkiem zjednywa, to, jak mówiłem, jej prostota, jej wdzięk, tak czysto nasze rodzime polskie, że je rozpoznasz i scharakteryzujesz odrazu.

P. Kochańska ma ten wdzięk nieprzymuszony, niewyuczony, który znamionuje wielką osobistą dystynkcją prawdziwej artystki, znającej formy światowe. Brunetka, z okrągłutką, jak jabłuszko, twarzą, na której igra swobodny uśmiech, i z której patrzy dwoje rozumnych, ale jak rozumnych! — oczu — te dwa okienka duszy tłómaczą wszystko; z taką parą oczu, nie można być, ani pospolitą kobietą, ani zwyczajną śpiewaczką.

D. 6 Grudnia pani Kochańska, która skończyła swoje przedstawienia w Paryżu, wyjeżdża do Hiszpanii, gdzie naprzód w Barcelonie, a następnie w Madrycie wystąpi w ulubionych jej rolach — i pewni jesteśmy, że równie tam, jak tutaj zachwyci i oczaruje swoich słuchaczy. Więcej i prędzej nawet może, niż tutaj, bo tam są ludzie gorętsi, i serca żywiej i śpieszniej biją, niż tu, nad mętą Sekwaną.

Ponieważ nie ma kielicha polskiego, w którymbyś nie znalazł kropelki goryczy... więc ciesząc też się tak i fetując naszą artystkę, przypomniał ktoś naszego biednego „więźnia z Magdeburga“... On to, dziesięć lat temu, w tymsamym gościnnym domu Gałęzowskich, mówił nam pierwszy o talencie, nieznanym jeszcze wówczas nikomu, naszej śpiewaczki, mówił z serdecznym zachwyceniem, dodając: „zobaczcie, że będzie to kiedyś, pierwszorzędna gwiazda na naszym niebie.“ Gwiazda świeci rzeczywiście jasnym światłem artystycznym, ale nie dla jego znużonych oczu! Wiecie, że na dopełnienie miary niegodziwości na dziś proces ze swym adwokatem, z owym-to Saulem, który go tak pięknie bronił, że mu aż umozębnił pobyt w Magdeburgu... Temu Saulowi Kraszewski, nietylko, że zapłacił z góry, bo musiał, honorarium ogromne, ale mu jeszcze pożyczył pieniędzy, pożyczył na wieczne nieoddanie. Licha figura, w nieszczęsnej jakiejś chwili wybrana na obronę, teraz zbankrutował i pozywa Kraszewskiego o wypłatę honoraryów, których nie zaciągnął był do swej sznurowej księgi. Tego brakło jeszcze!

Kilka lat temu w Marsylii, wskutek złośliwego artykułu, ogłoszonego w jakimś legitymistowskim dzienniczku, wytoczyła się żywa polemika pomiędzy redaktorem a młodym exaltowanym i otwarcie radykalnym poetą p. Klodowuszem Hugues'em. Polemika przerodziła się szybko w obelgi, jak to się często zdarza pod gorącym niebem południa. Nastąpiły wreszcie i ręczne argumenta, a nakoniec pojedynek, w którym młody redaktor dziennika życie utracił.

Smutny ten koniec posłużył poecie do pozyskania wielkiej sympatii wśród radykalnego stronnictwa — i za pierwszym otwarciem wakansu do deputacji p. Hugues posłany został do parlamentu, jako jeden z deputowanych Marsylii. Za przybyciem do Paryża znalazł on tu swoje rodaczki, panie Royannez, matkę i córkę, z której przedko zawiązała się przyjaźń, a nakoniec przyszło do pobrania się, bo panna Janina Royannez i p. Clovis Hugues byli równie młodzi i pełni gorącego zapału oboje.

W czasie, kiedy się młodzi małżonkowie nie znali jeszcze, i kiedy p. Klodowusz przebywał wstępne swe awantury w Marsylii, w Paryżu pewna zamożna wdówka, zamożna w lata i w złoto, wstępowała w powtórne śluby z młodym doktorem, szukającym pozycyi i pacjentów. Jak się to stało, iż tak niedobra para, złączyła się straszniemi węzłami?

Jakkolwiekby, małżeństwo się owo skleiło, i jak zwykle bywa w podobnych wypadkach, zadróś staruszki zmaćla domowy pokój, który się zamienił w domową wojnę.

W owym czasie pani Royannez z córką mieszkały, czy w domu sąsiadów, czy nawet w tymsamym domu, co i zwaśnione stadło eskulapa. Ale nie zdaje się wcale, aby się znali wzajemnie. Matrymonialne zajście doktora skończyło się na wypędzeniu go z domu zazdrosnej wdowy i na procesie separacyjnym. Ale tu, aby otrzymać wygraną, potrzeba było jasných, dobitnych dowodów, a wdowa miała jedynie same podejrzenia. Poradzono jej wówczas udać się do pewnego brzydkiego źródła, z którym ucziwi ludzie unikają zwykle wszelkiej styczności. Źródła tego rodzaju znane są w Paryżu pod nazwiskiem „Biurow Informacji“ ma się rozumieć, informacji pokatnych, tajemniczych i zwykle pełnych brudu.

Agent jednego z takich zakładów, nazwiskiem Morin, podjął się za dobre pieniądze dostarczyć wdowie należytych dowodów co do przeniewierstwa jej męża, a szpiegując i szukając po wszystkich kątach, porozumiał się z jakąś odźwierną, która mu miała wskazać p. Royannez w liczbie osób odbierających hołd od ściganego przez swą żonę eskulapa.

Nie byłoby nic dziwnego, że młody doktor wolałby się modlić do pełnej życia, młodości i wdzięków Marsylianki, niż do swej starej, zazdrosnej baby. Ale, jak się pokazało później, było to wierutne kłamstwo i wymysł, albo owego Morina, albo też odźwiernej; zazdrosna wdowa wszakże przyjęła fałsz za dobrą monetę.

Kiedy następnie sprawa separacyjna doktora wytoczyła się przed sądem, i kiedy nazwisko

panny Royannez zostało zbrukane — piękna Marsylianka była już wówczas panią Hugues'ową: łatwo jest pojąć, jakiego rodzaju wzburzenie musiało wywołać w domu młodego małżeństwa podobne oskarżenie!

Gorąca i gwałtowna, jak jej mąż, pani Hugues'owa, po krótkim namyśle, z rewolwerem nabitym w kieszeni, udała się wprost do starej zazdrośnicy, z zamiarem wymierzenia sobie sprawiedliwości. Na szczęście starej i młodej, doktorowa leżała w łóżku chora i pani Hugues'owej przyjąć nie mogła, pomimo najgwałtowniejszych nalegań z jej strony. Ta zwłoka dni kilku dała czas do rozwagi i do wysapania się Marsyliance, a gdy wróciła powtórnie, wytłómaczono się wzajemnie, i pani Hugues'owa przekonała się, że nie stara zazdrośnica, ale ów August Morin był jedynym winowajcą w tej sprawie.

Pozwano go więc do sądu o oszczerstwo i kilka miesięcy temu otrzymano nań kondemnatę na zaoczność, bo się nie stawił do sądu, na dwa lata więzienia. Zdawało się więc, że wszystko skończone. Tu nawiasem wtrąć, że myśląc o tych rewolwerach kieszonkowych pięknej Marsylianki, przypomniałem sobie dziwną trochę historję z lat młodych. Istniał jeszcze w wówczas w Kijowie Sąd Główny i Sąd Kryminalny, z prezesami i deputatami, z wyborów szlacheckich. Prezesem sądu kryminalnego był zacy i kochany Maurycy Turkuł — najlepszy z ludzi, ale trochę krwisty, a więc impetyk.

Jakaś pani kapitanowa, nazwiskiem Sztoflcowa miała jakąś tam sprawę w kryminale, około której chodząc zawzięcie, zaprzętała swemi prośbami i wizytami prezesa i deputatów sądu. Znużony Turkuł jej napastnictwem, dał rozkaz służącemu, aby ją zawsze odprawiał z kwitkiem: „Nie ma pana w domu!“. Kapitanowa, za drugim czy trzecim razem, zrozumiałwszy co się święci, zaczęła nastawać, krzycząc, hałasować — tak, że Turkuł musiał się pokazać i dość żywo wyprosić natrętną kapitanową za drzwi.

Rozżalona *virago*, wróciwszy do domu, napisała list ostry, który nazajutrz wręczono prezesowi. W owe czasy błogosławione, nie było jeszcze dzienników, których szpalty mogłyby przyjąć tego rodzaju komunikacyę; a więc list ostro bardzo napisany, puszczony został w obieg w rękopiśmie... i dziś jeszcze pamiętam sławne jego zakończenie:

„Mości Turkule, Prezesie Sądu Kryminalnego! Na tak wielką, wyrządzoną mi zniewagę, czuję w sobie męstwo Spartanki i wyzywam W Pana na pojedynek.“

Ma się rozumieć, załagodzono tę straszną sprawę — i Spartanka wróciła do swej bieżącej natrętnej.

Ale wróćmy i my do sprawy Hugues'owej i Morina. Skazany zaocznie na dwa lata więzienia, zaapelował do wyższej instancyi, gdzie obie strony stawiły się naocznie, d. 27 zeszłego Listopada. Ale z powodu zbyt przepełnionej sprawami sessyi trybunał odroczył proces na dni ośm. Opuszcili więc izbę sądową i znaleźli się w przedsiönku: p. Hugues z żoną i ze swym adwokatem, a p. Morin ze swoim. Na widok nienawistnego jej agenta, pani Hugues'owa uczuła w sobie równie męstwo Spartanki, i dobywszy z kieszeni, przygotowany na ten cel, jak sama zeznała, rewolwer, rzuciła się zapalczywie na przeciwnika i nim zdołano ją powstrzymać, strzeliła doń sześć razy; trzy kule trafiły agenta — jedna w głowę, druga w szyję, a trzecia w łopatkę, trzy inne zagrzęzły w murach przedsiönka.

(Dokończenie nastąpi).

ODCZYTY KOBIEŃ W ANGLII.

„Cudze rzeczy wiedzieć dobrze jest, a swoje potrzeba“ powiedział nasz Fredro z XVII w., ale tych rzeczy swoich znajomość prawdziwa wymaga właśnie wiedzy o tem, co jest gdzieindziej, aby punkt porównania sobie zdobyć i wydać sąd sprawiedliwy. Kwestya politycznego głosowania kobiet angielskich, szeroko przez gazety poruszona w tym roku; udział kobiet angielskich w kiero-

waniu edukacją narodową; kobieca szkoła medyczna wzniesiona w Londynie i używająca praw kolegium uniwersyteckiego: wszystko to dochodzi do wiadomości kobiet krajów innych; czy przecież wiedzą one, jaką-to wartość moralną i umysłową posiada ta uprzywilejowana Angielka, i co pod tym względem wśród narodu swego przedstawia?

Czego się uczy i jak się uczy? to może kryterium najlepsze do oznaczenia stopnia inteligencji, duchowego wyrobienia i siły charakterów kobiet w Anglii, a odczyty kobiece, odbywające się w tegorocznym semestrze jesiennym w gmachu bardzo poważnej instytucji naukowej, w Londyńskim *British Museum*, już o tem coś powiedzieć mogą. Z dniem 1-ym Października miss Peek rozpoczęła tam seryą sześciu odczytów „O ruinach miast starożytnych“; przedmiotem jej prelekcji były po kolei: Persepolis, Palmira, Balbek, Tyr i Sydon, Petra, Tarsus. Następnie miss Harrison, również w seryi sześciu prelekcji, czytała „O sztuce Greckiej“, traktując rzecz, nie tylko ze strony artystycznej, ale z historycznej i religijnej. Obecnie miss Helena Beloe kończy takąż seryą wykładów „O starożytnym Egipcie“, którego cywilizacja, sztuka i religia przedmiotu jej dostarcza, a dodać należy, iż obszerna sala Muzeum Brytańskiego tak wciąż była i jest pełną słuchaczek, jak pełną jest zawsze każda dobra szkoła, która się w Anglii dla nauki kobiecej otwiera. Angielka uczy się poważnie, gruntownie; pociąga ją, nie tylko błyskotliwe wykształcenie literackie, po wierzchu chwytane, ale każda gałąź wiedzy ludzkiej znajduje między kobietami angielskimi umysły żadne poznawać ją i studyować. Jak taka nauka prawdziwa odciskiem swoim znaczy charakter, jak je podnosi i głębokości dodawać im musi?—zrozumie każdy, kto weźmie pod uwagę, najpierw pracowitość i wytrwałość, która z takim kształceniem umysłu koniecznie się łączy, potem wyrobioną przez to powagę myśli i rozszerzone jej horyzonty. My, którzy nie mamy dotąd dostatecznej liczby nauczycielek domowych, tak wykształconych, aby zadaniu swemu dobrze odpowiadały; my, którzy nie mamy wcale nawet bon swoich, bo jest rzeczą niezaprzeczoną, że wiele matek dobrej chęci nadaremnie ich poszukiwało; my z niedowierzaniem prawie dowiadujemy się, że tam kędyś, istnieją z powodzeniem, z trwałem, nie z chwilowej mody powstającym powodzeniem, wykłady dla kobiet: o starej Azji, o starej Grecji, o starym Egipcie!..

I może niejednemu u nas wyda się to czemś, co kobietę z jej kobiecości wykołaja, co ją wdzięku pobawia i do życia w rodzinie, do zajęć u domowego ogniska niezdatną czyni. A przecież wszyscy ci, co podróżowali trochę, wiedzą, że Angielka, jak kobieta wszelkiej innej narodowości, ma swój powab, tylko przez to szlachetniejszy, że kokieteryi pozbawiony, a Anglia to kraj, gdzie właśnie życie rodzinne jest bardzo rozwinięte i wysoce cenione,—szanowane tak, że najbardziej zapalony reformator i poszukiwacz nowych dróg ludzkości nigdy się tam na ideę rodziny nie porwał i wśród najrozmaitszych teorii społecznych, rodzina przedstawiała się zawsze jako kamień węgielny społeczeństwa. I oto, gdy z jednej mównicy kobiecej rozlega się głos nauki o starej historii ludzkości, z drugiej jedna kobieta tak poważnie podnosi kwestyą wychowawczą, że ją najważniejszą organa pismienicze (*Athenaeum*) w streszczeniu podają, inna upomina się u siostr swoich o takie uczucie miłości, któreby nie zostało zwichniętym przez chęć lekkomyślnego używania i było „jasną iskrą domowego ogniska, ciepłem w łonie narodu.“ Tu przedmiot pozwala iść za prele-

gentkami angielskimi i dowiedzmy się, co mówiły.

Czynnik intelektualny w wychowaniu moralnem.

(Odczyt Mrs Bryant na zebraniu *Brytańskiego Stowarzyszenia*).

Na przeszłym zebraniu Brytańskiego Stowarzyszenia (*British Association*), professor Londyńskiego Uniwersytetu, Ward, przemawiając w sekcji edukacyjnej, wykazywał zawisłość rozwoju umysłowego od moralnego charakteru kształcącej się młodzieży. Otóż, dopełniając rzecz, Mrs Bryant mówiła w roku bieżącym: „o czynniku intelektualnym w wychowaniu moralnem“ a głównymi punktami jej tezy było:—Zawisłość moralności od inteligencji, czy u dziecka, czy u człowieka, jest wielką. Zażegnaj głupotę, a uczynisz możliwą tak cnotę, jak mądrość i ztąd nauczyciel może rozpocząć kształcenie wychowawcze, czy to od rozbudzenia poczucia moralnego, sumienia wychowawca, czy od rozbudzenia jego inteligencji. Metoda działania jednoczesnego jest najskuteczniejszą, najpewniejszą, najlepszą z tego względu, że żadna z tych wielkich władz ducha ludzkiego nie rozwija się dominująco, z krzywdą i kosztem drugiej, co gdy ma miejsce, już nadwreżoną zostaje ta szlachetna harmonia doskonałego człowieka, jakiego pierwowzór przewodniczyć powinien myśli o wychowaniu i przedstawiać się zawsze umysłowi wychowawcy przy użyciu każdego kształcącego środka. Na wytworzenie w młodzieńca charakteru moralnego składać się muszą trzy żywioły: dobra wola, rozumne pojmowanie rzeczy i wiara w pewien ideał, uprzedzająca pojęcie go przez umysł. Odpowiada to trzem podwalinom kształcenia moralnego, które są: przyzwyczajanie do obyczajów moralnych, wszczepienie zasad moralnych i zbudowanie przed młodym umysłem gmachu drogich mu ideałów.

Wezwyczajanie do obyczajów moralnych nie polega jedynie na postępowaniu moralnem, ale i na wyrobieniu woli moralnej, przez nawyknięcie do takiego postępowania, i to dopiero razem toruje drogę przyjęciu zasad, które moralność utrwalają. Ale samo przyzwyczajanie do postępów uczciwych jeszcze o zaszczerpieniu zasad nie decyduje i tylko rzecz ułatwia, bo na otrzymanie tego trzeba, aby owoce przyzwyczajania zostały poddane sądowi czynnika intelektualnego, aby przyszło tą drogą pojęcie ich i uznanie za rzecz dobrą.

W każdym razie w oczach wychowawcy moralne doskonalenie się wychowanka powinien oznaczać postęp w kierunku zachowywania się moralnego, powolna modyfikacja nawyknięć złych lub niedbałych, zamienionych na wierne obstawanie przy cnocie i uczciwości. Aby przecież taka edukacja moralna powieść się mogła, potrzebnem jest zawsze na to: pewne inteligentne rozwinięcie logiczności w myślach wychowanka, pewne sympatyczne skierowanie się jego wyobraźni ku wzorom za piękne i dobre przez niego uznany. Naśladownictwo jest charakterystycznym rysem dzieciennego i młodzieńczego wieku; wychowanie powinno też z tego usposobienia młodej natury korzystać i, wzory takie wychowankowi podając, wyobraźnię jego ku nim kierując, powinno nawyknięcia wyrabiać i grunt zasadom dawać, ideały moralne przyszłego człowieka przygotowywać.

Więc „głupota musi być zażegnana“, powtarza Mrs Bryant, wracając do pierwotnego założenia swego. Sokratesowa, platońska metoda kształcenia przez podnoszenie wysokich prawd i szlachetnych pojęć moralnych, jest skuteczna tylko wobec umysłów już rozwiniętych i do rozumowania uzdolnionych. U dzieci, u młodzieży jeszcze nie-

dojrzałej, zwracać się potrzeba najpierw do wyobraźni i działać przez nawyknięcie, używając przytem więcej przykładów konkretnych, niż wpływu idei abstrakcyjnych, o których przecież zapominać nie należy. W miarę rozwijania się i wzmacniania inteligencji czynnik intelektualny powinien kształceniu moralnemu w pomoc przychodzić, bo polega ono w znacznej części na jego współdziałaniu, jeżeli ma to być rzeczą w skutkach swoich trwałą i nie ograniczającą się do pewnego czasu jedynie. Niektóre osoby wychowanie moralne prowadzące—przez gnuśność, inne—przez niecierpliwosć, która też jest gnuśnością osobistości żywego temperamentu, omijają przy wychowaniu moralnem poruszanie myśli i zasady moralne czynić chcą dogmatem. Przecież jedenaste przykazanie: „Będziesz myślał“, powinno być przykazaniem bardzo wysokiego znaczenia, nie tylko dla tych, którzy chcą, aby człowiek był rozumny, ale i dla tych, którzy pragną dlań doskonałości moralnej.

Jest to tylko do głównych punktów założenia sprowadzone streszczenie odczytu Mrs Bryant, którego rozwinięcie filozoficzne rozumem być miało. Że i tak pełno użytecznych wskazówek znaleźć w nim może osoba, zajmująca się wychowaniem, wątpliwości nie ulega. Tylko potrzeba na to rzeczy jednej—potrzeba, aby była tak rozumną, jak Mrs Bryant, i niech rodzice widzą w tej uwadze przestroję przeciw bardzo zakorzenionemu fałszowi:— że wychowanie początkowe może być bez szkody powierzane osobom niższego wykształcenia. Herezya to jest, ogromna herezya wychowawcza, i nauczyciel czy nauczycielka najmłodszego nawet dziecka, powinna być osobą wyższego wyrobienia umysłu i pojęć edukacyjnych, choćby wiadomości naukowych mniej posiadała. Gdy jest inaczej, dziecko się psuje; bo jest niedość dobrze prowadzonym, a bywa najczęściej i tak źle nauczonym, że przez to również psuć się musi, bo węzeł tu jest nierozzerwalny. Nauka niepedagogicznie dawana, niepedagogicznie jej prowadzenie, tak charakter dziecka moralnie wykrzywia, jak umysł jego pacy i zdolności pojęcia obniżyć może przez złej metody stosowanie. Nigdy tak smutnie nie wzdychałam nad naszym brakiem skłonności naukowych, jak patrząc na te nauczycielki początkowe, które przecież przez jakąż liczbę matek w tem, czego im braknie, zasadnie osądzonymi być mogą?

(Dokończenie nastąpi).

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Silny duch**.

TREŚĆ. Wiejski kowal, Longfellowa, poezya przez El-y. — Książki dla młodzieży i dzieci, (dokończenie), przez Maryą Illicką. — Głupia dziewczyna (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Poznań. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg), przez Stanisława Krzemińskiego. — Nowiny paryżkie. — Odczyty kobiet w Anglii.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 3-ci, przez W. Heimbura. — 43 wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.